

Werner Herzog

ZMIERZCHANIE
ŚWIATA

Przekład

Małgorzata Łukasiewicz

Posłowie

Paweł Mościcki



LUBANG, ŚCIEŻKA W DŻUNGLI
20 lutego 1974

Noc tarza się w gorączkowych majakach, a gdy się ocknąć, niczym za sprawą zimnego dreszczu, wokół rozpościera się zmieniony w jawę sen, który nie chce przeminąć, szmerzący jednostajnie i rozmigotany jak źle podłączone neony. Od świtu dżungla drga w rytualnych mękach elektrycznej ekstazy. Deszcz. Burza jest tak daleko, że nie słyhać grzmotów. Czy to sen. Czy to sen. Szeroka ścieżka, po lewej i po prawej gęste podszycie, na ziemi butwiejące listowie, z drzew kapie. Dżungla trwa w odrętwieniu, w cierpliwej pokorze, aż odprawi się do końca uroczyste nabożeństwo deszczu.

Potem, jakbym tam był: z oddali wrzawa głosów; radosne okrzyki są coraz bliżej. Z mętnego oparu dżungli wyłania się postać. Lekko pochyłą ścieżką zbiega młody Filipińczyk. Dziwna rzecz, w prawej ręce trzyma nad głową coś, co kiedyś było parasolem, a teraz jest już tylko szkieletem z drutów i strzępów materiału, w lewej wielki nóż bolo. Tuż za nim kobieta z niemowlęciem w ramionach, potem siedmiu czy ośmiu innych mieszkańców wsi. Nie sposób się zorientować, co wywołało radosne podniecenie. Przebiegają, nic więcej się nie dzieje. Nieustanne kapanie z drzew, zacichła ścieżka.

Po prostu ścieżka. A dalej, po prawej, tuż przede mną, na ziemi porusza się parę zbutwiałych liści. Co to było? Moment zastygnięcia. Potem zaczyna poruszać się ściana listowia przede mną, mniej więcej na wysokości oczu. Powoli, bardzo powoli, nabiera kształtu człowieka w liściach. Duch? Widziałem cały czas, miałem tuż przed oczami, ale nie rozpoznawa-

łem: to japoński żołnierz. Hiroo Onoda. Nawet gdybym wiedział, gdzie stał bez ruchu, nie zobaczyłbym go – cały jest zamaskowany. Strząsa mokre liście oblepiające mu nogi, potem zielone gałęzie, starannie umocowane do tułowia. Sięga w gęste zarośla po karabin, obok schował też zamaskowany tornister. Rozpoznaję żołnierza, około pięćdziesięcioletniego, żylastego; każdy jego ruch jest niezwykle ostrożny. Jego mundur składa się już tylko z pozszywanych łat, kolba karabinu owinięta jest rzemykami. Nasłuchuje uważnie, potem bezgłośnie znika w kierunku, w którym podążyli mieszkańcy wsi. Przedemną wciąż gliniasta ścieżka, ale teraz nowa, inna, a jednak ta sama, tylko wypełniona tajemnicami. Czy to był sen.

Ścieżka, nieco zagłębiona, poszerzyła się. Deszcz przeszedł w mżawkę. Onoda bada odciski stóp w glinie, stale nasłuchując, stale w pogotowiu. Jego oczy, czujne, nieustannie lustrują otoczenie. Odezwały się ptasie głosy, stateczne, jakby zapewniające, że niebezpieczeństwo jest

chwilowo tylko słowem z leksykonu, tajemniczym, dyskretnym stanem krajobrazu. Owady też bzykają jednostajnie. Zaczynam, razem z Onodą, słyszeć, że bzykanie nie jest agresywne, nie zapowiada napaści. Z daleka szum strumienia, chociaż żadnego strumienia jeszcze nie widziałem, jakbym zaczynał tłumaczyć dźwięki, tak jak Onoda.

LUBANG, DOPŁYW WAKAYAMY

21 lutego 1974

W tym miejscu dżungla przerzuciła dach nad wąską rzeczulką. Przejrzysta woda płynie po płaskich kamieniach. Po lewej, gdzie zaczynają się zarosłe dżunglą pagórki, do rzeki wpada strumyk. Poniżej jego ujścia teren jest nizinny. Bambusy, palmy, wysokie trzciny. Tam, gdzie oba nurty się łączą, rozciąga się piaszczysta łacha. Onoda idzie po piasku tyłem, pozostawia ślady, które zmylą ewentualny pościg. Wśród rozkołysanych trzcin rozpoznaje małą japońską flagę. Ostrożnie podnosi lornetkę, naznaczoną wieloma latami w dżungli, sfatygowaną. Czy w ogóle ma jeszcze lornetkę? Szkła pryzmatów dawno nie pokryły się pleśnią? Ale czy Onodę w ogóle można sobie